dziś i jutro

miesięcznik ilustrowany

numer czwarty rok dwunasty

kraków

grudzień 1935

Nuncjusz Apostolski w Polsce mianowany kardynałem.



Ks. Arcybiskup Franciszek Marmaggi, Nuncjusz apostolski w Polsce został zamianowany przez Ojca św. Kardynałem.

Jego Em. Ks. Franciszek Marmaggi urodził się w Rzymie dn. 31 sierpnia 1876 r. Święcenia kapłańskie otrzymał 14 kwietnia 1900 r. — Sakre biskupią 26 września 1901 r. Nuncjuszem Apostolskim w Polsce został mianowany 13 lutego 1928 r. — 30 grudnia b. r. odbędzie się w apartamentach Nuncjatury warszawskiej uroczystość wręczenia Jego Em. Ks. Nuncjuszowi pierwszej odznaki jego godności kardynalskiej — piuski purpurowej, którą przywiezie z Rzymu kapitan gwardji papieskiej, hr. Pietromarchi. Dn. 4 stycznia 1936 r. odbędzie się na zamku w Warszawie, według specjalnego ceremonjału uroczystość wręczenia ks. Nuncjuszowi biretu kardynalskiego przez P. Prezydenta Rzeczypospolitej.

Odpowiedzi od redakcji.

T. M. Niestety foto Solskiego było niewyraźne i nie udało się zrobić odbitki. Artykulik jest miły i pisany z prostotą i pewnym talentem, który radzimy kultywować. Pisywać radzimy prozą, nie wierszem. Proszę dalej migawkowo chwytać aktualne przeżycia, a redakcja będzie T. M. uważać za swoją korespondentkę ze Lwowa.

„Wierna Czytelniczka“. Bardzo dziękujemy za zwrócenie uwagi. Sprostowanie zamieścimy w numerze grudniowym. Niestety same spostrzegłyśmy się o pominięciu Waszej szkoły we Lwowie, ale już po niewczasie.

P. Bilwinówna. Nowelka pt. „Łukasz“ bardzo nam odpowiada. Wprowadzimy tylko małą zmianę, która bardziej uwydatni nasz kierunek. Bardzo żałuję, że nie poznałam Pani, ale w grudniu będę w Warszawie dłuższy czas — mam więc nadzieję, że się zobaczymy.

Autorce artykułu p. t. „Kuźnia Sił“ dziękujemy bardzo. Artykuł napewno zajmie naszą młodzież. Liczymy na dalszą współpracę z dziedziny sportów, wycieczek, nart i z radością witamy fotografje.

P. Pruszyńska. Ucieszyły nas słowa uznania dla „Dziś i Jutro“: „Niesłychanie miła gazetka, tak nie podobna do tylu innych banalnych, że nietylko całą przeczytałam, ale pożyczyłam i dlatego tak późno oddaję”. Prosimy o nadsyłanie dalszych recenzyj. Może z dziedziny nowości dla starszej młodzieży, można też z literatury obcej szczególnie francuskiej, bo w naszych szkołach obowiązuje język francuski.

P. Stokowska. Z dalszych artykułów skorzystamy w styczniu i lutym. Gdyby Pani miała opracowane coś na temat organizacyj społecznych — to prosimy o nadesłanie. „Pomniki Warszawy“ proszę nie opracowywać.

Jagienka z pod Lublina. Z wierszy umieszczamy tylko jeden — inne zatrzymujemy. Co do proponowanej powieści, — z przykrością odmówić musimy, gdyż w miesięczniku dłuższych nowel, niż na dwa numery, nie zamieszczamy.

Lublin gimn. 523. Baśka Tycner. Niestety nie zamieścimy, bo artykulik mimo miłego stylu, treścią nam nie odpowiada. Proszę jednak nie zrażać się i coś znowu do nas napisać.

Lnblin gimn. 523. „Uczestniczka wyprawy“. Coprawda szczerze opisałaś „Uczestniczko Wyprawy“ o swej przygodzie, po której, myślę, straciłaś ochotę do „zwiedzania” klasztoru w nieodpowiedniej porze, ale „Wspomnienie“ nie nadaje się do druku. Myślę jednak, że masz, lub będziesz miała inne wspomnienia np. z wakacyj zimowych, to może kiedyś je nam opiszesz — prawda? —

Ela Prokopowicz. Twój wierszyk oddałam do redakcji „Małego Światka“ i tam otrzymasz odpowiedź.

Nadesłano do Redakcji.

Wydawn. Księg. Św. Wojciecha w Poznaniu.

X. Franciszek Błotnicki: „Idziemy w życie!“ Cena zł. 0·60.

Jest to dawno upragnionym zbiorkiem wierszy ideowych. Młodzież znajdzie w nich echo swych wewnętrznych dążeń i przeżyć. W wierszach tych, użytych jako deklamacje, powie swym niezorganizowanym towarzyszom, swym rodzicom, przyjaciołom i społeczeństwu wogóle — co tli na dnie serca zorganizowanej młodzieży.

DZIŚ I JUTRO

SŁOWO WCIELONE.

Stanę wraz z Matką Najświętszą w zachwycie obok Żłóbka Betleemskiego, w którym spoczął Bóg-Człowiek.

Co nam mówi ta Matka? to ciche, cudne Dzieciątko? to otoczenie ubogiej stajenki?



Potężnym głosem przemawia do nas ta chwila Narodzenia Boga-Człowieka — I choć mijają wieki, zawsze z równem wzruszeniem przeżywamy tę rocznicę Bożego Narodzenia.

Tło historyczne pogańskiego okresu świata znika, kryje się za horyzont dziejowy — a era Chrześcijaństwa tak krańcowo inna, wschodzi, aby już nigdy nie zejść z oczu zdobytej przez Chrystusa ludzkości.

Z Matką Najświętszą przeżywamy tę Noc Betleemską. Ona — potomek królewskiego rodu — zubożała, cicha i skromna — widzi się otoczona światem pogańskim. — Zaśniedziały, zmaterjalizowany, zgangrenowany zepsuciem pogaństwa, nawet w swych najwyższych duchownych niesprawiedliwy, okryty fałszem, nieświadomie czekał, aż przyjdzie Ten, Który będzie Drogą, Prawdą i Żywotem.

A Zbawiciel świata pod jakąż postacią zbliża się do zubożałej moralnie, a tonącej w przepychu zewnętrznym ludzkości pogańskiej? Czyż On, ten Bóg-Człowiek zejdzie na świat w całej krasie i bogactwie, na jaki stać było Boga i Stwórcę wszechświata i wszechstworzenia?

Przeciwnie — Jezus — w największym kontraście, w nędzy i ubóstwie, w słabości i niemocy ukrywa Swe Bóstwo. Nędza i ubóstwo zewnętrzne, ale jaki przepych i bogactwo wewnętrzne bije na nas z tego Żłóbka, z tej Stajenki w tę Noc Betleemską!

Do niewidomych i głuchych na światło i wołanie Prawdy odwiecznej! On — Bóg w ciele ludzkiem, zbliża się i jasnością Swą chce przeniknąć dno nędzy moralnej. Głos Boga-Dzieciecia przemawia do najzatwardzialszych na prawdę umysłów, które były, są i będą — „Prawda przemawia wewnątrz, bez brzmienia słów“.

Osobowość Jezusa jasno z tego cichego, nędznego Żłóbka promienieje, pociąga za sobą z taką siłą z jaką dotąd żadna indywidualność legendarnych czy historycznych po-

staci nie porywała i jak po wieki nie porwie za sobą.

Przemówienie Jezusa z Żłóbka, donośnie poprzez wieki będzie brzmiało — i będzie ludzkość pociągało, by iść za Nim, oddając Mu się w ofiarnej pracy nad sobą samym i dla dobra bliźnich.

Jaka stąd dla nas płynie nauka?

Oto ta — że skoro jesteśmy złączeni z Chrystusem w jedno ciało mistyczne przez należenie do Kościoła Chrystusowego — za tą Alfą i Omegą mamy **zdecydowanie** *postępować i wznosić się na szczyty doskonałości Chrystusowej — Kierować się mamy Jego Wolą, odziewać się w Jego liberję. Mamy zdecydowanie zdążać w życie, służąc Bogu — jak On, Jezus trwał w służbie Ojca Swego. W służbie Dobra i Prawdy trwać ofiarnie na tym posterunku, przy tym warsztacie pracy, w tem otoczeniu, w jakiem nas los postawił.*

Życiem, czynami, słowem i całem umiłowaniem naszem dać świadectwo Prawdzie, świadectwo Chrystusowi, który w Żłóbku się urodził, w walce i trudzie żył — i skonał dla idei Królestwa Bożego na Krzyżu.

Adorując Jezusa w Żłóbku, Matka Najświętsza miała wizję Męki Chrystusowej — a jednak odważnie i mężnie przeszła bieg życia Swego.

I my, pomimo wizji prac, trudów i znojów nie traćmy ducha pogody i radości, w jakim nas stawia dzień Bożego Narodzenia.

WIGILJA.

Łukasz przysiadł pod przydrożnym krzyżem. Wieczór się zbliżał. Biała, gęsta mgła wisiała w powietrzu. Z piersi człowieka wydarło się ciężkie westchnienie. Przez kurtę czuł przejmujący ziąb, ręce zdrętwiałe niezgrabnym chwytem obejmowały trzonek siekiery.

Przed Bożem Narodzeniem wybrał się z siekierą od wsi do wsi, szukając jakiejkolwiek pracy, byle tylko ręce o coś zaczepić i poczuć w mięśniach i kościach wysiłek i ciepło. I szedł tak bez planu przed siebie. Jednakowym głosem zapytywał na folwarkach o pracę. Zwykle odprawiano go z niczem. Czasem tylko trzeba było drwa porąbać, wtedy z radosnym błyskiem oczu podwijał Łukasz rękawy i z postękiwaniem zabierał się do pracy. A gdy mu się trafiła jaka porządna, stolarska robota, pogwizdywał sobie z cicha, bo stolarz był z zawodu i za stolarką tęsknił. Zwykle jednak rankami, południem i nocą wędrował przez gościńce i drogi polne. Nogi z trudem odmierzały tysiące i miljony kroków. Dokąd i poco? Do pracy i po pracę.

Wiatr przewiewał go nawskroś, wsączając się zimnem oślizgłem aż do duszy. A w duszy, gdzieś z samego dna podnosiły się jakoweś szepty niepokojące, bunty i gniewy. Łukasz przeżywał swoje wszystkie krzywdy: i te najdawniejsze, doznane jeszcze w dzieciństwie, które mimo odległości czasu paliły ciągle żarem niewygasłym i te świeże, przytłaczające swoim ciężarem. A największa, najokrutniejsza — to brak pracy. Gdy wspomniał swoje wędrówki, swoje jednakowe pytania i odpowiedzi, zaciśnięta pięść podnosiła się, wygrażając. Skoro jednak w oddali dojrzał dymy z kominów, bunt w nim przycichał, a w sercu zapaliła się słaba iskierka nadziei. I znów z niespokojnym błyskiem oczu, wstrzymując dech w piersiach zapytywał o pracę. I znów odchodził z rozpaczą, niezdolny już nawet bryznąć ludziom swoją krzywdę.

W mroku ledwie dostrzegalne były ramiona drewnianego krzyża, a pod nim skulony, nieruchomy zarys człowieka. Była cisza. Najmniejszy szelest nie mącił jej martwoty. Człowiek jakby spał, oczy jednak miał otwarte, wpatrzone nieruchomo w przestrzeń. Oczy te i grymas wykrzywionych ust, głowa wciągnięta w ramiona i przygięcie nieruchomego ciała było krzykiem, krzykiem o ratunek, tem straszniejszym, że bezgłośnym.

Z krzyża Chrystus w agonji spoglądał z miłością i współczuciem na zbiedzoną postać ludzką.

W ciszę wśliznął się nieuchwytny, delikatny szelest. To śnieg zaczął padać dużemi płatami, osypując się z gałęzi drzew. Wilgotne płaty przylgnęły do twarzy i rąk człowieka. Łukasz wzdrygnął się, pospiesznie otarł twarz ręką i poczuł, że mu zimno. Zamiast poderwać się i iść, zapatrzył się w biały, miękko opadający śnieg. Wszystkie złe, czarne myśli gdzieś odleciały, usta rozchyliły się uśmiechem takim, jak za chłopięcych swoich lat.

— Śnieg!

Podniósł się wolno, rozprostował zdrętwiałe kości, wziął siekierę, poprawił torbę z narzędziami i poszedł. Opadły go wspominki — dawno zapomniane zdarzenia, rozmowy i ludzie. Myśl pracowała, a nogi niosły go coraz prędzej i sprężyściej. Zbliżał się do wsi; z zagród rozległo się poszczekiwanie psów. Zbudził się i rozejrzał. Na prawo od drogi zabłysło w małem okienku światło. Nogi poniosły go w stronę światełka. Nie uświadamiając sobie tego, co robi, otworzył furtkę w chróścianym płocie. Z budy wyskoczył czarny psiak, szczeknął raz pytająco, pomerdał niezdecydowanie ogonem i znów położył się na swem legowisku.

Łukasz przez okienko dojrzał blaszane misy na stole i coś, co wzbudziło w nim taki sam dreszcz radości, jak w latach dzieciństwa. W świetle małej lampy naftowej, przyczepiona u sufitu pstrzyła się kolorami bibułek nieduża choinka. Ozdoby były skromne, ale i tak cieszyła oczy gromadki dzieci, przypatrującej jej się z radością.

— Przecież to dzisiaj wigilja! — szepnął do siebie Łukasz. I znów ból w piersiach zaczął go gnieść.

Drzwi skrzypnęły, na progu stanęła kobieta. Dojrzała przybysza.

— Kto to? — głos drgnął jej niepokojem.

— Nie bójcie się, już odchodzę. Popatrzyłem tylko na waszą choinkę.

— Kto wy?

— Ja za pracą.

— Za pracą — powtórzyła, jak echo. — A pracy niema. Dokąd pójdziecie?

Wzruszył ramionami.

— Do sołtysa. Niech mi da kwaterę.

Nie odpowiedziała, ważąc coś w swojej głowie.

— A możebyście... — jeszcze się zawahała — Możebyście zostali u nas.

Zdumiał się. — U was?! Eee... gdziebym...

— Zostańcie! Przecież dziś wigilja! — Nie potrafiła swojej myśli jasno wypowiedzieć. — Mój już nie żyje — dodała — W chacie ja i dzieciska. Najstarszy Antek ma piętnaście lat.

Jeszcze nie mógł uwierzyć.

— A nie boicie się obcego z drogi brać do chaty?

— A czego? U mnie bieda. I wiecie, strach taki, że jego miejsce puste. — Otarła oczy fartuchem.

— Dawno umarł?

— Będzie prawie, rok tylko, że pierwsza wigilja bez niego. I nie był stary, nie. Czterdzieści pięć lat.

— Tyle, co ja — szepnął człowiek.

Zapadło milczenie.

— Wejdziecie?

— Ano to Bóg wam zapłać!

Coś w nim tajało, w piersi poczuł gorącość i rzewność. W izbie spojrzał mocnym, jasnym wzrokiem w przywiędłą, zniszczoną twarz kobiety. Mówić nie mógł i nie umiał. **Odpowiedziało mu takie samo ludzkie spojrzenie.**

Jadwiga Bilwin.

Obyczaje świąteczne u nas i u obcych.

Wraz z pierwszą gwiazdką, która zapłonie w Wigilję Bożego Narodzenia, spłyną na ośnieżoną naszą ziemię najradośniejsze — najpiękniejsze Święta.

Na całej kuli ziemskiej oczekują tego dnia i dzieci i starsi. Dzieci w poczuciu pewności, że jednak chyba napewno spotka je tego dnia radość. — Starsi odgrzebują w duszy wspomnienia, jak to gromadzili się ongiś wokół jaśniejącej blaskiem świeczek i złotych łańcuchów choinki.

Boże Narodzenie jest świętem ogólno-

— chrześcijańskiem, ale każdy kraj zachował do dziś odrębne zwyczaje danej narodowości tylko właściwe.

W Anglji na tygodnie przed świętami ropoczyna się istna orgja paczek i paczuszek zwanych »Christmas prezents« — każdy szanujący się Anglik uważa za swój obowiązek rozesłać do wszystkich przyjaciół bodaj jakiś drobiazg.

Na kilka dni przed Bożem Narodzeniem miljony tych paczuszek przefruwa z miejsca na miejsce po całem Imperjum Wielkiej Brytanji. Podarki te w pierwsze święto zostaną rozłożone na specjalnie przygotowanym stole.

Choinka i świerk, ów symbol Gwiazdki np. naszej jest tam nieznany — widuje się czasem malusieńkie te drzeweczka w doniczkach.

Natomiast każdy dom angielski i amerykański jest bogato zdobiony ostrokrzewiem i jemiołą. Są to pozostałości celtyckiego kultu jemioły, jako »rośliny świętej«, uzdrawiającej chorych i wnoszącej szczęście zakochanym. Wigilja nie jest w Anglji świętem — dzień ten spędza się jak każdy inny.

Ucztę obrzędową świąt Bożego Narodzenia stanowi »Christmas Dinner« — obiad w pierwszym dniu Świąt spożywany jest zwykle koło godziny szóstej wieczór — Musi tu być tradycyjny indyk, oraz »plum pudding« oblany rumem, cały w płomieniach niebieskiego ognia.

»Plum pudding« świąteczny stanowi mięszaninę produktów wszystkiego, co dostarczają dominja i tradycja każe, aby każda kolonja miała w tem udział.

A więc cukier grubo-ziarnisty ze wschodnich Indyj, smalec — z Nowej Zelandji, cierpkie jabłuszka z Kanady, czarne rodzynki z Australji — rum z Jamajki itp., tylko mąka i imbir z Anglji.

Przysmak ten wymaga kilku dni pracy i strawić go potrafi jedynie żołądek angielski.

Boże Narodzenie to jedyny dzień w roku, gdy sztywni Anglicy przestają być »dobrze wychowani« i dokazują i bawią się, jak dzieci.

Dzieciarnia angielska zamiast pod choinką, znajduje swoje niespodzianki w olbrzymiej pończosze, zawieszonej na łóżeczku i przechodzącej w rodzinie z pokolenia na pokolenie.

W Ameryce również rozchodzi się woń pieczonych indyków — wszystko dookoła przystrojone jest ostrokrzewiem i jemiołą, podarki opakowane ładnie w masę bibułek i każdy ma czerwoną kokardkę i gałązkę jemioły.

We Francji zamiast pończochy wystawia się przed kominek stare buciki z karteczką, na której nagryzmolono wszystkie pragnienia 10-letniego serduszka.

Wieczerza wigilijna jest zastąpiona obfitem śniadaniem spożywanem w południe. Na końcu podaje się ciastka z kremem, które przyrządza każda Francuska, śpiewając »Noel, Noel«.

Podobnie rzecz się ma we Włoszech — tam czarnowłose, pyzate »bambini« wywieszają za okno pończochy, aby Św. Mikołaj miał gdzie dary wkładać i objadają się pieczonemi kasztanami, cukierkami sfabrykowanemi z miodu i migdałów i słonemi ciastkami genueńskiemi.

Najuroczyściej obchodzą jednak Boże Narodzenie kraje skandynawskie i niemieckie. Tam od 23 grudnia aż do Nowego Roku płoną masowo drzewka nietylko we wszystkich nawet najuboższych domach, ale i na placach miast i miasteczek. Jest to śliczny zwyczaj, który u nas na Śląsku, Pomorzu i w Poznańskiem się przyjął.

We wszystkich tych krajach na długo przed Świętami suną długie węże pociągów towarowych, naładowanych choinkami. Ustawiają drzewka potem na placach, co daje złudzenie, że wśród starych murów miasta wyrósł zielony las.

U nas choinki weszły w życie w latach 1795—1807 za okupacji Prusaków, którzy je wprowadzili w Warszawie, skąd się rozeszły po całym kraju. W dawnej Polsce istniał zwyczaj wnoszenia w dzień wigilijny snopa, jako symbolu, że jesteśmy krajem rolniczym. Urządzano zabawę, a w środku snopa, umieszczano wielką gwiazdę. Z tej właśnie słomy robiono potem pająki itp., które wieszano u pułapu, jako ozdobę na przeciąg całego roku.

W Szwecji w wigilję, którą nazywają »Jul«, zastawiają suto stoły wszelakiego rodzaju mięsem, gdzie przeważa wieprzowina.

Na stole płonie tyle świeczek, wiele jest dorosłych domowników. Po czterech rogach

ustawia się na podłodze duże płaskie miski, w które nakłada się każdej potrawy po trochu; jest to uczta dla krasnoludków i duszków, opiekujących się domem.

W Jugosławji rzucają orzechy w cztery kąty pokoju i jeden na środek, co ma symbolizować dotarcie idei Chrystusa do wszystkich części świata.

Potem wnoszą ogromny placek, pośrodku którego płonie wielka »Świeczka Jezusowa«, ustrojona trawami, zbożami itp. hodowanemi przez człowieka roślinami. Świeczki tej się nie gasi, tylko czeka aż się sama dopali.

U nas postna wieczerza wigilijna składająca się z nieparzystej ilości tradycyjnych potraw, spożywana o pierwszej gwieździe — a potem rozdanie dzieciom podarków, jest kulminacyjnym punktem tradycyjnych obchodów okresu Świątecznego.

Tradycja każe każdemu dnia tego sprawić jakąś radość. Na cześć Dzieciątka Jezus, przedewszystkiem dzieci w czasie tych świąt są obdarowywane i otoczone najtroskliwszem sercem przez dorosłych.

M. Łepkowska.

Mojżesz — Michała Anioła.

Zaklęty w marmur posąg olbrzyma-człowieka...
Obraz siły tragicznej i żelaznej woli...
Chmurnie patrzy ku wnijściu w „Pietro in Vincoli“...
Gniew zastygł w jego rysach kamiennych od wieka...
Przykazań Boskich zwiastun, potężny Syn Syonu —
Mojżesz — filar Starego Zakonu.

Stworzył go człowiek-genjusz, natchniony przez Boga,
A w oblicze tchnął obraz swojej duszy...
Wyraz jej, to stanowczość, surowość, czy trwoga
Coś, co jednych przerazi może, innych — wzruszy.
Dziwną dumą i bólem tchnie kamienna płyta...

Znawca krótko określił ją: Terribilita.
W głaz zaklęty majestat po rozmowie z Bogiem...
Oburzenie widnieje na kamiennej twarzy...
— Złoty cielec!...
Lud jego jest dziś Boga wrogiem,
Więc Mojżesz słowa twarde w swojej myśli waży
I ręką targa brodę w bolesnem napięciu...

Za chwilę, zda się, wykrzyknie: przeklęci!
A Mistrz, skończywszy swe dzieło,
W boską swą władzę uwierzył
Chcąc, aby życiem wionęło...
Młotem w kolano uderzył,
By życia wstąpił weń duch.

I krzyknął: „A teraz mów!“
Pękło kolano Mojżesza
Lecz duch się zatrzymał u wrót...
Bóg jeden do życia wskrzesza
Sam wlewa w swe dzieła dusze,
Michelangel choć stworzył cud,
Był tylko ziemskim genjuszem!

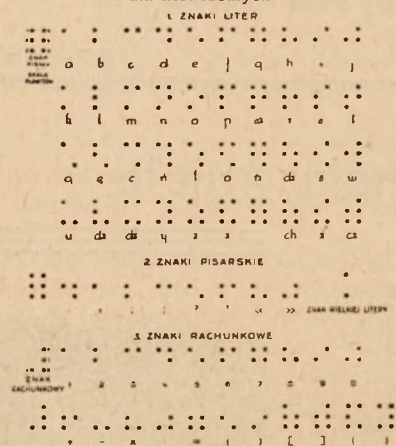


J. Hoesick-Hendrichowa.

Wśród tych, którzy nie widzą słońca.

Instytut ociemniałych i głuchoniemych w Warszawie to jedna z najstarszych placówek szkolnych w Polsce. Założony został bowiem przez ks. Jakóba Falkowskiego z inicjatywy ks. Stanisława Staszica 23 października 1817 roku.

POLSKI ALFABET „BRAILLE'A"
dla niewidomych:



Początkowo była to niewielka szkółka wyłącznie dla głuchych, mieszcząca się w budynku koszar kadeckich tam, gdzie obecnie stoją gmachy uniwersytetu. W roku 1826

POLSKI ALFABET PALCOWY
głuchoniemych



przeniesiono się do własnego gmachu na placu Trzech Krzyży, gdzie i dziś się zakład mieści.

Dział dla ociemniałych wprowadzono w roku 1842 w czasie, gdy rektorem był ks. Józefat Szczygielski.

Rozbudowując się coraz więcej, zakład rozwijał się wspaniale, w okresie rządów dyr. Pawłowskiego był uważany za najlepiej postawioną placówkę w Europie. W roku szkolnym 1883-4 mieścił w sobie 318 uczniów, którym zapewniał prócz pewnego zasobu ogólnej wiedzy i wykształcenie fachowe.

Ostatnie 28 lat przed wojną światową instytut kierowany był przez dyrów. Rosjan którym więcej zależało na rusyfikacji tej placówki, niż na wykształceniu dzieci. Pomimo to Instytut pozostał ostoją polskości.

W roku 1915 oficjalnie Instytut ociemniałych i głuchoniemych został przeniesiony do Moskwy, lecz już 23 września tegoż roku otworzono go zpowrotem pod kierunkiem dr. Manczarskiego.

W danej chwili funkcję dyrektora pełni dyr. Zawadzki.

Dzięki jego uprzejmości mogłam się bliżej zapoznać z działalnością Instytutu. Jest to szkoła państwowa, kształcąca ogólnie i zawodowo.

Jak to nazwa wskazuje, są tam dwa odrębne działy; głuchoniemych i ociemniałych — prowadzone są one zupełnie odrębnie i dzieci są podzielone. — Inaczej być nie mogło.

— Między naszemi dziećmi niememi a niewidomemi niema przyjaźni, bo one się wzajemnie nie rozumieją — mówi mi jedna z nauczycielek.

Dla działu głuchoniemych istnieją przy instytucie:

1. przedszkole (jedyne w Polsce), gdzie przyjmowane są dzieci od lat 5—8, 2. szkoła powszechna dla dzieci od lat 8 — gdzie nauczanie trwa lat 8, obejmując pełny program szkoły powszechnej, 3. warsztaty szkolenia zawodowego (drukarnia, introligatornia, stolarnia, warsztaty szewskie i krawieckie).

W roku szkolnym 1934 ogólna liczba uczniów głuchych wynosiła 241, w tem 159 chłopców i 82 dziewczynki.



Dzieci głuchonieme przy lekcji.

Ogólna liczba głuchych w Polsce wynosi 42 tys., z tego dzieci w wieku szkolnym jest około 9 tysięcy, z czego w 16 szkołach na ziemiach Rzeczypospolitej pobiera naukę zaledwie 1100 dzieci, czyli znikomy procent. Reszta skazana jest na straszne bytowanie kalek-analfabetów.

Nauczanie głuchych dzieci odbywa się metodą ustną.

Wykształcenie zawodowe otrzymują bądź to w warsztatach szkolnych, bądź to w prywatnych. Długoletnie doświadczenia wykazują, że głusi mogą pracować z pożytkiem w 40 zawodach.

Przy instytucie mieści się internat, który zamieszkuje 77 chłopców i 46 dziewczynek.

Z działu niewidomych korzysta 53 chłopców i 13 dziewczynek, z czego w internacie przebywa 26 dzieci.



Ociemniali przy wyrobie szczotek.

Przybliżona liczba ociemniałych w Polsce wynosi 20 tys. Dzieci w wieku szkolnym jest w tem około 2 tys., a z dobrodziejstwa szkół specjalnych korzysta tylko 400.

Naogół ociemniali są inteligentniejsi od głuchoniemych. Posiadają wielkie pragnienie wiedzy. W Instytucie uczą się systemem Braille'a, przechodząc pełny kurs szkoły powszechnej.

Dla nich prowadzi szkoła warsztaty szczotkarskie, koszykarskie i szkołę muzyczną o programie szkoły średniej.

Patrząc na wesoło podskakującą gromadkę na wielkiem boisku, trudno mi było poprostu uwierzyć, że dzieci te nigdy słońca nie oglądają.

Zakład stara się również utrzymać stały kontakt i ze środowiskami, z których



Święto z okazji 118 rocznicy założenia Instytutu Ociemniałych i Głuchoniemych w Warszawie.

dzieci przychodzą i przyzwyczaić społeczeństwo do współżycia z ociemniałymi i głuchoniemymi.

Opiekę nad wychowankami zakład stara się przeciągnąć możliwie najdłużej, aby po wyjściu z zakładu niemi nie stanęli w tłumie ludzkim obcy i samotni.

Zupełnie wzruszającym jest stosunek nauczycielstwa do dzieci. Pracują oni z takiem zaparciem się siebie i z taką wiarą, że trud ich nie idzie na marne, że potrafią z upośledzonych kalek wychować Ojczyźnie pełnowartościowych obywateli, że w każdym praca ta musi wzbudzić wielki podziw i głęboki szacunek.

Oprócz nauki ogólnej, uczą drukarstwa, introligatorstwa, stolarstwa, szewstwa, krawiectwa, ogrodnictwa, gospodarstwa domowego, szycia i t. p.

Głuchoniemi nie mówią tylko dlatego, że nie słyszą. — W szkole uczą ich mówić, przez naśladowanie ruchów warg mówiącego.

Uczą ich czytać i pisać. Gdy to opanują, głuchoniemi pod względem umysłowym niczem się nie różnią od współbraci słyszących i, bez specjalnych trudności, w ciągu 8 lat przechodzą pełny kurs szkoły powszechnej. — Potem uczą się jakiegoś rzemiosła, co im w następstwie pozwala pracować zarobkowo.

Oprócz mówienia i czytania słów z ruchów warg, uczą się głuchoniemi specjalnego alfabetu palcowego, którym się porozumiewają między sobą.

Dzieci głuchonieme odznaczają się wielką czystością serca i wesołością. — Lubią się bardzo bawić i są nadzwyczaj koleżeńskie; unikają robienia sobie przykrości.

W Polsce jest 2 tysiące dzieci niewidomych w wieku szkolnym. — Z tego zaledwie 400 uczy się w specjalnych szkołach — reszta to biedacy, którzy są pozbawieni dobrodziejstwa nauki.

Dzieci ociemniałe są bardzo uważne i posiadają nadzwyczaj czuły dotyk, który im częściowo zastępuje oczy. Przy pomocy dotyku czytają, orjentują się na mapie i t. p.

Zwiedzając szkołę, trafiłam na lekcję krajoznawstwa. — Mowa była o Warszawie. Przed każdem dzieckiem leżała tekturka, na której był naklejony plan miasta. Zamiast zwykłych linijek, ulice były odznaczone wałeczkami naklejonej na karton plasteliny, lub skóry.

— Podróżujemy teraz po Warszawie. Gdzie pani chce, aby ją zaprowadzić? — mówi, zwracając się do mnie nauczycielka.

— Może na plac Zamkowy — odpowiadam

— No dzieci, które wie? —

— Ja, ja — odzywają się miłe głosiki.

— Niech Staś powie.

Palce chłopczyka zaczynają błądzić po wypukłych linijkach, a oczy patrzą prosto przed siebie.

— Teraz jesteśmy na placu Trzech Krzyży, to trzeba iść prosto — tą ulicą... to będzie Nowy Świat, potem Krakowskie przedmieście i Plac Zamkowy.

— Zochna, powiedz, którędy najbliżej do Marszałkowskiej. — Małe paluszki dotykają planu i na buzi maluje się niepewny wyraz zakłopotania. — Po małej chwileczce, usteczka rozchylają się w uśmiechu i dziewczynka odpowiada całkiem pewnie: — Najbliżej będzie przejść, albo Wspólną, albo Hożą.

W tej chwili odzywa się dzwonek — to duża pauza. Dzieci zrywają się z miejsc i wybiegają wesoło na wielkie boisko, gdzie się ślicznie bawią i to tak, że na pierwszy rzut oka niktby nie pomyślał, że dla nich nigdy słonko nie świeci.

Po pauzie trafiam do klasy, gdzie się odbywa nauka czytania i pisania. Pismo dla niewidomych przedstawia punkty zamiast linji ciągłych. Punkty te są wypukłe tak, że można je palcami wyczuć. Każda litera przedstawiona jest przy pomocy różnego układu sześciu kresek.

Wynalazca tego pisma był niewidomy francuz L. Braille. Francja w r. 1925 święciła uroczyście stuletnią rocznicę wynalezienia tego alfabetu.

Pisanie odbywa się przy pomocy specjalnej ramki metalowej, pod którą podkłada się gruby papier, na którym wykłówa się punkciki specjalnym sztyfcikiem — punkciki te z drugiej strony są wypukłe i dzieci gładko je odczytują.

— Może Pani podyktuje dzieciom jakiś ustęp.

Biorę książkę i czytam głośno kilka zdań. Dzieci bardzo szybko wykłówają, a potem odczytują zupełnie płynnie.

Dziękuję nauczycielce za pokazanie mi lekcji i wychodzę.

Na korytarzu doganiają mnie dwie dziewczynki z tej klasy, w której byłam poprzednio. Zatrzymuję się i pytam, czy chcą czego ode mnie.

— Proszę pani, myśmy się chciały spytać, czy pani napisze o nas w gazecie?

— Postaram się opisać zwiedzenie waszej szkoły.

— To może pani napisze, że nam jest strasznie przykro, że gdziekolwiek się ruszymy, słyszymy tylko wyrazy politowania i współczu-

cia — bo my wprawdzie otaczającego świata nie widzimy, ale staramy się wytworzyć sobie piękny świat wewnętrzny.

Obiecując, że spełnię prośbę dziewczynek, żegnam się z niemi serdecznie.

Marzenna Sarvusz-Stokowska.

Historja grama radu.

Odkrycie działania radoaktywnego, owej własności promieniowania ciał, ściśle wiąże się z odkryciem promieni X przez Röntgena w r. 1895.

Szereg badań, przeprowadzonych przez M. Skłodowską początkowo nad związkami uranu, jednego ze znanych dziś 38 pierwiastków radoaktywnych, doprowadziło do odkrycia w r. 1898 radu.

Była to praca zupełnie gigantyczna, bo dla wydobycia 2—3 miligramów radu, należy mozolnie oczyścić, przepłukać, poddać skomplikowanym przemianom chemicznym całą tonnę, czyli 1000 kg. rudy uranowej. Praca to nietylko mozolna, ale i niebezpieczna, gdyż rad nieujarzmiony, działa zabójczo na ludzi, którzy z nim mają do czynienia.

Badania radu pociągnęły za sobą wielką liczbę ofiar z pośród ludzi ze świata nauki. Wielu cichych bohaterów poświęciło swe życie dla dobra ludzkości, badając ten pierwiastek. Wymienię tutaj tylko Francuza dr. Menard, dyrektora kliniki radjologicznej, przy szpitalu paryskim im. Chochin'a, któremu naskutek stykania się z radem przy badaniach laboratoryjnych, musiano amputować najpierw jeden palec, a w następnych latach wszystkie pozostałe pokolei. Potem stracił on oko, wargi, uszy, policzki i w końcu ciało jego stało się jedną, rozkładającą się raną.

Bohaterstwo to należy tembardziej podnieść, iż dr. Menard doskonale sobie zdawał sprawę na co się naraża i, mimo nalegań otoczenia, za nic nietylko nie chciał zaprzestać pracy laboratoryjnej, ale nawet nie pozwalał powstrzymywać rozwoju choroby i uczynił ze swego ciała objekt doświadczalny dla celów nauki.

Odkrycie radu w r. 1898 było punktem zwrotnym w medycynie, bo aktywność nowoodkrytego pierwiastka, w formie białego metalu, okazała się miljon razy większą od uranu. Ze wszystkich pierwiastków radoaktywnych, promieniotwórcze działanie radu ma charakter najbardziej stały, 1 % bowiem wagi może być wypromieniowany w ciągu 25 lat, pomimo, że z każdego gramu rozpada się w ciągu sekundy około 37 miljonów atomów.

Rad się prawie nie zużywa; obliczono, że z posiadanego przez nasz Instytut radowy 1 gr. radu, za 1580 lat ubędzie dopiero połowa.

Wysyła on trzy rodzaje promieni:

1) Promień Alfa, wysyłany z miljon razy większą szybkością, niż leci kula rewolwerowa, ale daje się łatwo zatrzymać przez arkusz papieru.

2) Promień Beta, złożony z t. zw. »elektronów« posiada szybkość 3 miljonów metrów na sekundę.

3) Promienie Gamma, podobne do drgań elektromagnetycznych, o niesłychanej przenikliwości.

Tylko kilkucentymetrowa blacha ołowiu może je wstrzymać, a przez ciało ludzkie przechodzą z łatwością.

Dzięki tym właściwościom można leczyć radem raka i t. p. nowotwory.

Wszelkie nowotwory powstają mianowicie przez wzrost i rozmnażanie się nadmierne komórek. Gdy komórki rozmnażają się bezplanowo, niejako »anarchicznie«, rozrost ich powstaje niesłychanie szybko. Nowotwór rosnąc prędko, »wżera« się w sąsiednie zdrowe tkanki.

Zupełnie przypadkowo stwierdzono, że falowanie promieni radu powoduje zaburzenia w strukturze chemicznej komórek rakowych, sprowadzając ich obumieranie.

Pierwsze doświadczenia, dotyczące działania fizjologicznego radu, dokonane były przypadkowo przez pierwszych jego badaczy. Ludzie ci nie domyślając się wpływu pro-

mieni radowych na organizm ludzki, nosili drogocenne cząsteczki radu w kieszeniach od kamizelek.

Po pewnym czasie spostrzegli stan zaognienia skóry dokładnie w tem miejscu, gdzie w kieszonce był umieszczony rad.

Leczenie radem polega na »bombardowaniu« jego promieniami miejsc objętych chorobą. Rad spala tkanki objęte chorobą.

Początkowo przemysł radowy koncentrował się we Francji, która przerabiała rudy uranowe z Portugalji i Colorado. Aby z tych rud otrzymać 1 gr. radu, trzeba było zużyć do 800 tonn rudy radoaktywnej, oraz do 300 tonn innych związków chemicznych.

Ostatnio odkryto w Kongo wielkie złoża, które zawierają do 100 miligramów radu na tonnę, więc koszt produkcji radu cokolwiek się zmniejszył, ale jeszcze dziś 1 gr. radu kosztuje przeszło 60.000 dolarów.

Polska dzięki darowi tej, która odkryła pierwiastek radu, posiada go 1 gram.

Jest to ilość duża, jaką mało który naród może się pochlubić.

Maleńka ta kruszyna, zdolna uleczyć tysiące chorych, narodziła się w dalekim egzotycznym Kongo, jako ruda uranowa, zawierająca duże ilości »pechblendy«, t.j. cennego materjału, zawierającego duże ilości tlenku uranu.

Ruda ta została zmielona na pył i poddana kolejno działaniu kwasu siarkowego, kwasu solnego, związkom sodu i węgla.

Otrzymane związki poddano dalej parokrotnej kąpieli gorącej i krystalizacji. Dalej, z sal fabrycznych przeniesiono ją z kolei na stoły w laboratorjach i tam, po długich a mozolnych przemianach osiąga się wreszcie w malusieńkich miseczkach czysty rad.

Nasz gram radu, jadąc z Kongo poprzez Brukselłę, zwiedził Paryż, gdzie dokonano na nim w tamtejszym Instytucie Radowym tysiąca przesubtelnych pomiarów i ważeń całości. Rozdzielono go następnie na 165 nierównych części.

Poszczególne cząsteczki poumieszczane zostały w igłach, lub tubkach platynowych, co pozwala na dowolne dawkowanie radu.

Przyglądam się z podziwem niewielkiej igle radowej, którą trzyma w delikatnych szczypczykach dr. Laskowski, a dyr. dr. Łukaszczyk objaśnia mi:

— Ta cząsteczka radu, która się w tej igle znajduje, kosztowała około 7 tys. złotych, a jest właściwie bezcenną, bo może przecież uleczyć tysiące ludzi zagrożonych okropną śmiercią na raka.

Dla tego jednego gramu radu stworzona została wspaniała placówka naukowa, z której możemy być dumni, a mianowicie:

Instytut Radowy im. Marji Curie-Skłodowskiej.

Marzenna Sargusz Stokowska.

ŚNIEG PADA.

Gdy pada pierwszy śnieg, rozbudza się coś w duszy,
Coś znaczy na niej śnieg, gdy płat po płatku pruszy...
Łączy się cicho wiek ku starczej wlokąc głuszy
A biała, śnieżna noc — ma cichą niemą moc!
Dzwoneczki dzwonią, dzwonią, przez śniegu jasny szmat...
Ktoś białą, śnieżną dłonią przesłania oczom świat,
Wspomnienia siebie gonią, nie licząc przeszłych lat,
A płat po płatku pruszy i rzewność budzi w duszy.
Choinka oświetlona przez okien patrzy szkło,
Puszysta jej korona świecideł dźwiga sto!
W oczach dziatwy grona błąka się śmiech ze łzą
I słychać wszędy, wszędy radosny śpiew kolędy!
A cichy, biały śnieg anielskie sypią dłonie,
Przejasną zjawą legł na pola i na błonie,
Bóg ziemi grzesznej rzekł: „W czystości stań koronie
Gdyż bije już godzina — narodzin mego Syna!“

„Jagienka“ z pod Lublina.

Z PUSZCZY BIAŁOWIESKIEJ.

Puszcza Białowieska, z którą łączy się Ładzka i Świsłocka, jest największym obszarem leśnym w Europie — obejmuje 2000 km. kw. Liczne rzeki i strumienie, jak Narew, Narewka biorą swój początek w dzikich jej ostępach.

Z tej olbrzymiej, leśnej przestrzeni wydzielono 4595 hk. na Park Narodowy. Jest to część najpiękniejsza, w której ocalały przed rabunkową gospodarką Moskali i Niemców wspaniałe okazy prastarych lip, dębów, wiązów, świerków i innych leśnych olbrzymów, sięgających czasów Jagiełły i Witolda — jak ów dąb 5 metrów obwodu a 48 m. wysoki i inne drzewa śmigające w górę niby gotyckie wieżyce. Nieraz we wspólnym wysiłku łączą się różne drzewa i zbratane w poplątanej gęstwinie coraz wyżej wzrastają. Pnie owijają pasożyty, dołem ścielą się setki gatunków skrzypów i paproci, tworząc na wiosnę wspaniały kobierzec. — Zakątki tajemnicze, jeziorka zielonkawo-rdzawą barwą lśniące, to siedziby rusałek, o których tyle legend czytamy z ciekawością.



500-letni dąb.

Drogę tamują wykroty, pnie zwalone mchem porosłe, korzenie wyrwanych drzew wysoko w górę sterczą.

Gdzieniegdzie jednak przecinają nieprzebytą czerń puszczy szerokie wytwory kultury leśnej, któremi turyści mogą zwiedzać najdalsze jej zakątki; udogadnia zwiedzanie puszczy kolejka, którą przecinają w kilku kierunkach.



Sosny w Parku Narodowym.

Na przestrzeni 60 hektarów znajduje się siedziba żubrów, które wytępione w czasie wojny, obecnie są sprowadzone nanowo w liczbie 16 z prywatnych zwierzyńców. Borus, ojciec rodu broi często i w przystępie złego humoru łamie grube palisady, jak zapałki. Ma nawet na sumieniu śmierć gajowego. Z obawy, aby nie rozgniewać króla puszczy, trzeba w wielkiej ciszy zbliżać się do terytorjum, w którem jest samowładnym panem.

Poza parkiem narodowym i muzeum w dawnym pałacu myśliwskim carów, obecnie



Zwały w Parku Narodowym.

Prezydenta Rzeczypospolitej, posiada park wspaniałe zbiory fauny, urządzone wysiłkiem i staraniem naszych najwybitniejszych przyrodników.

Wśród licznych gatunków ptaków spotykamy piękne okazy bojowników, słynnych ze swoich walk. W porze swych walk zmieniają one całkowicie swe upierzenie. Po ukończeniu turniejów, gdzie krew się nie leje, ale piórka gęsto lecą, powraca zgoda i życie »rodzinne« bojowników płynie normalnym torem. Oprócz tego spotykamy tu zbiory ptasich jaj, barwnych, jak pisanki, oraz ciekawe okazy białej sowy i inne... Park pałacowy spadający tarasami, stawami łączy się z Narewką. Całość tworzy malowniczą perspektywę.

Wśród puszczy leży duża wieś Białowieża, która zadziwia widza swą czystością. Kilka razy do roku zjeżdża do puszczy na polowanie Pan Prezydent z gośćmi, a nawet w ostatnich latach byli obecni na polowaniach goście z zagranicy. Racjonalna ochrona przyrody sprawiła dobry stan zwierzostanu, a polowania cieszą się wielkiem powodzeniem.

Marja Stecowa.



Szlak turystyczny w Parku Narodowym.



Fragment Pałacu.

ŻYWOTNE NIC.

To nic, że zżółkłe liście
poopadały z drzew;
że wątłych kwiatów kiście
zimny postrącał wiew;
Nic — że chmur smutnych łzy
wichr w śnieżne zmroził płaty,
rozszarpał ziemi szaty
na mgły...
To nawet nic, że serca
bujne w płomienny żar
zastygły, jakby od nich krwi już odpłynął
war; —
To nic, że chwilę śpią
w popiołu szmacie
i, że na wspomnień macie
śnią...
Bo idzie, idzie wiosna
dla zmarzłych kwiatów,
dla drzew odartych z liści,
dla nagich drzew...
Zasnuje słońce krosna
w promienie,
blaski ziści,
odetchnie ziemia wonią kwiatów i szkarłatów, —
zanuci śpiew!
I z zimowego leża
na głos spienionej wody
zahuczy w sercu krew;
rozeprze żył odźwierza,
apatji zgrzeje lody,
zakrzyczy zew!
w cmentarzysk myśli
z odrętwienia grobów
wyniknie czynu siew!

Janina Unkiewicz —„I“.

Czem będę?

Na Zaduszki Jarosław ożywił się. Zjechało się dużo młodzieży uniwersyteckiej. U Janki zebrało się kilka szkolnych koleżanek. Zaczęły naturalnie rozmawiać o studjach i życiu akademickiem.

Janka zapisała się na historję na uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Opowiadała o swoich kłopotach i komicznych sytuacjach, gdyż zupełnie nie orjentowała się, co trzeba najpierw załatwić, jakie wykłady wpisać do indeksu. Ala studjowała filozofję francuską. Mieszkała razem z Janką. Dziewczętom było miło razem, miały wspólnych znajomych, razem chodziły na odczyty i do teatru.

Różniły się jednak usposobieniem i charakterami. Ala spokojna domatorka studjowała solidnie. Oprócz lekcyj konwersacji francuskiej brała także lekcje języka niemieckiego, chciała bowiem za poboczny przedmiot wziąć germanistykę. Interesowała się muzyką i teatrem. Janka wesoła i ruchliwa była harcerką. Nie opuściła nigdy żadnej zbiórki, brała czynny udział we wszystkich imprezach, pracowała w świetlicy.

Rozmowa zeszła na temat, co się bardziej opłaca studjować.

— Historyków i polonistów jest bez liku, także przyrodników i geografów. Najprędzej chyba można otrzymać posadę po ukończeniu matematyki i fizyki, albo języków obcych. Ala wybierając język francuski, dobrze zrobiła — dowodziła jedna z koleżanek.

Janka oburzyła się.

A ja to źle zrobiłam?! Wybrałam historję, bo to jest jeden jedyny przedmiot, który mogę studjować i który lubię. Matematyki i fizyki, zdaje się, nigdy w życiu nie potrafię nauczyć, łaciny nienawidzę, o geografji i przyrodzie nie mam zielonego pojęcia, języków nie znam. Co miałam wybrać?

— Czy musiałaś się zapisać na uniwersytet? Są przecież inne szkoły.

— Dziękuję ci! Może politechnika albo akademja górnicza, a może jakaś szkoła handlowa. To wszystko nie dla mnie. Wolę moją historję.

W Poznaniu przy ul. Podgórnej 11 jest Szkoła Społeczna; obecnie, gdy opieka społeczna bardzo się rozwija, możesz znaleźć odpowiednią pracę na placówkach społecznych. Różne instytucje prywatne, miejskie, organizują świetlice dla dzieci i starszych, potrzebują więc sił kwalifikowanych.

— Och, a ja nic o tej szkole nie wiedziałam! Zapisałam się na historję, bo nic lepszego wynaleźć nie mogłam, chociaż zawód nauczycielski niebardzo mi odpowiada. Co teraz zrobić?

— W tym roku już nic.

— Tak, ale w przyszłym przeniosę się do Poznania. Rok stracę, to trudno!

— Nie mów tak. W Krakowie nie trać czasu! Pozdawaj egzaminy, jakie tylko będziesz miała prawo zdawać i weź urlop! Może po skończeniu Szkoły Społ. powrócisz do historji.

Istnieje roczny kurs bibljotekarstwa przy Bibljotece Publicznej w Warszawie.

— Jula po maturze poszła do Zawodowej Szkoły Pielęgniarek w Krakowie na ul. Kopernika. Nauka ta trwa dwa lata.

— Widziałam ją kiedyś w mundurze. Ładnie jej w białym czepeczku. Opowiadała mi o swoich zajęciach. Pracy mają bardzo dużo. Jula jednak zadowolona. Mówiła, że od najmłodszych lat marzyła o medycynie, a zawód, do jakiego się przygotowuje, łączy się z medycyną.

— Taka sama dwuletnia szkoła jest w Warszawie i świeżo otwarta w Poznaniu przy ul. Chełmońskiego 22.

— Anka zrobiła trzymiesięczny kurs Czerwonego Krzyża i dwumiesięczną praktykę w szpitalu.

— Poco jej to?

— Dlaczego? Może się jej przydać. Za parę miesięcy wychodzi za mąż. Przyszły jej mąż ma majątek na Polesiu. Podobno straszna dziura. Anka będzie miała pole do pracy.

— A wiecie, co wybrała Henia?

— Jakieś kursa rolnicze.

— Zapisała się do Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie.

— Na rolnictwo?

— Nie — ogrodnictwo. Studja tam trwają cztery lata.

— Bardzo długo! W Krakowie przy uniwersytecie jest dwuletni kurs ogrodnictwa.

— Ale w S. G. G. W. po ukończeniu otrzymuje się tytuł inżyniera.

— Wyobraźcie sobie: Henia — inżynier! Malutka, drobniutka!

— Co to szkodzi! Wanda także będzie inżynierem.

— Która Wanda?

— Siostra Heni. Wanda już wnet skończy chemję na politechnice warszawskiej. Otrzyma tytuł inżyniera-chemika. Obiecują jej posadę w jakiejś fabryce.

— Jadźka wybrała sobie Wyższą Szkołę Handlu Zagranicznego we Lwowie. Uczy się jak szalona.

— Tam podobno na rok trzeba zdać kilkanaście egzaminów.

— Tak jest we wszystkich szkołach handlowych: w Krakowie, w Poznaniu.

— Podziwiam ją! Ja w szkole handlowej nie wytrzymałabym nawet godziny.

— A ona nie wytrzymałaby gdzieindziej. Pamiętacie, jak lubiła arytmetykę i księgowość? Gdy była jeszcze w gimnazjum, już chodziła na jakieś kursa handlowe.

— Irka drugi rok jest w Państwowej Szkole Sztuk Zdobniczych i Przemysłu Artystycznego w Krakowie. Nauka trwa pięć lat. Czy pamiętacie Romę Zdaniecką?

— Taka śliczna brunetka!

— Tak. Ale to mało powiedzieć śliczna, ona jest poprostu piękna, no i bardzo zdolna. Otóż Roma już w tym roku skończy tę szkołę Przemysłu Artystycznego. Widziałam jej prace z zakresu malarstwa, śliczne i oryginalne. Może w przyszłości będzie z niej druga Stryjeńska.

— Z czego ona żyje? Przecież rodziców nie ma!

— Pomaga jej wuj, a zresztą ona trochę sama zarabia. Komponuje wzory na kilimy. Nosi się z zamiarem założenia pracowni kilimkarskiej.

— Mogłaby przecież starać się o posadę w fabryce materjałów. Komponowałaby wzory na materjały wzorzyste.

— Kto wie coś o Hance Liwskiej?

— Zdała egzamin do centralnego Instytutu Wychowania Fizycznego. Po skończeniu będzie nauczycielką gimnastyki. Przyjemne studjum, dużo ruchu na powietrzu. Nauki także sporo, ale wszędzie trzeba się uczyć.

— Moja siostra po maturze ma zamiar zapisać się do C. I. W. F.

— Jak długo potrwają studja?

— Dwa lata. Mówią jednak, że już tegoroczni słuchacze będą studjować trzy lata.

— Wychowanie fizyczne jest także przy uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie.

— Tak, nietylko w Warszawie.

— Co się dzieje z siostrą Romy?

— Żabusia skończyła Pedagogjum w Krakowie i jest nauczycielką gdzieś w Kieleckiem.

— Pedagogikę na uniwersytecie?

— Nie — dwuletnie Pedagogjum, studjum, które po maturze gimnazjalnej kształci kwalifikowanych nauczycieli szkół powszechnych.

— Janka Kwaśnicka skończyła Państwowe Pedagogjum w Warszawie. Teraz ma bezpłatną praktykę w Kaliszu.

— Za rok już może będzie na posadzie. Pewnie wtedy pomoże swojej siostrze, która jest w Akademji Sztuk Pięknych.

— Dlaczego wybrała takie studjum! Przecież to szaleństwo! Biedować będzie całe życie.

— To samo mówiła jej rodzina, ale ona się uparła. Ma podobno wielkie zdolności i kocha sztukę. Dlaczego więc miałaby wybierać zawód, który byłby jej niemiły! Może przecież po czterech latach Akademji zdać egzamin profesorski, po odbyciu praktyki będzie miała prawo nauczania rysunków w gimnazjach.

— Lepiej jej jednak było zapisać się do Państwowego Instytutu Robót Ręcznych w Warszawie. Studja trwają dwa lata. Podobno jednak od przyszłego roku nie będą już przyjmować kobiet.

— Szkoda! Mam znajomą, która rok temu ukończyła P. I. R. R. Naturalnie jest już na posadzie. Jest to jedna jedyna uczelnia tego typu w Polsce, kształci nauczycieli robót ręcznych. Dotychczas wszyscy po skończeniu P. I. R. R. otrzymują posady.

Słuchajcie! Omówiłyśmy bardzo pobieżnie prawie wszystkie uczelnie w Polsce.

— O, niewszystkie! A Akademja Górnicza w Krakowie, Szkoła Weterynarji we Lwowie i wiele innych, o których zupełnie nie wiemy.

— A szkoły muzyczne? Ola jest w Konserwatorjum we Lwowie. Ma zamiar zdawać egzamin pedagogiczny, żeby móc uczyć w szkołach.

— W Krakowie jest szkoła hotelarska, w Warszawie szkoła dziennikarska, a szkoły nauk politycznych!

— Moja kuzynka Aniela po sześciu klasach gimnazjalnych poszła do seminarjum dla ochroniarek. Za rok skończy i będzie kwalifikowaną wychowawczynią przedszkola. Przyjmują tam po siedmiu oddziałach, nauka trwa trzy lata.

— Dobrze jest wiedzieć o różnych szkołach. Prędzej i łatwiej wybrać wtedy można dla siebie studja.

— Tak, tak moje kochane, gdybym wiedziała prędzej o Studjum Pracy Społeczno-Oświatowej, Kraków nigdyby mnie nie ujrzał. Ale to nic straconego! — potrząsnęła energicznie głową Janka. *I. B.*

„Kuźnia Sił" olimpijskich na Bielanach.

Będąc w Warszawie, nie mogłam wytrzymać, by nie zwiedzić CIWF-u (Centr. Inst. Wych. Fiz.) na Bielanach.

Istotnie widok naprawdę imponujący!

Prócz samego parku, tyle tu udoskonaleń współczesnych...

Osobny internat dla dziewcząt, osobny dla chłopców, piękne łaźnie, i t. p.

Wszystko to wzór higjeny!!!

Piękne korty, oraz pływalnie, aż »oczy bolą patrzeć« na takie cuda!

Bawiący tu studenci szwedzcy i niemieccy, są poprostu zachwyceni! Na olbrzymich stadjonach, luksusowo urządzonych, (bo na 184 morgach ziemi) naszego jedynego CIWF-u, wre natężona praca sportmistrzyń i sportowców.

Różnie bywa: jedni ćwiczą z zapałem, zapamiętale, inni silą się tylko na to, ale jakoś to »nie idzie«, wielu tu jest po raz pierwszy, to też z uwagą śledzą każdy choćby najmniejszy ruch bardziej zaawansowanych. Jeszcze inni, to zupełnie coś odmiennego — owszem, owszem i zaawansowani i silni i... no — no — poprostu umieją się ruszać, a więc co?

Taki sportowiec, raz go tylko »nabili«, a już go peszy każde spojrzenie kogoś, choćby tylko z wyglądu »sportowego«...

To źle... ale i to z czasem minie... Jeszcze jeden lepszy czas, o parę sekund, a już »przyjdzie do siebie«.

Nikt nie rozumie co to porażka dla sportowca... trzeba to samemu odczuć: człowiek nie śmie patrzeć w oczy nikomu, zdaje mu się, że na jego widok każdy ryknie popoprostu śmiechem i wstyd w nim wzbudza taki ogromny zapał, że »go same nogi niosą« na stadjon, i ćwiczy, ćwiczy, bez pamięci... W każdym razie twarzy tu niechętnych ani śladu... więcej natomiast spojrzeń pytających i nieśmiałych, młodziutkich »cifaczek« na instruktorkę »groźną«, jednak pomimo tej »groźności« co chwilę uśmiechającą się pobłażliwie, wspominającą chwile swoich początków...

Idziemy dalej na stadjon »prawdziwych« olimpijczyków: zaraz inaczej... praca tu idzie systematycznie, nie nerwowo, podług miarowego stukania stoppera, wprawdzie niesłyszanego, ale tu, w wielkiej mierze, działa »przyzwyczajenie«...

Lokajski, jeszcze trochę zawstydzony ostatnią porażką w gościnie u Węgrów, jest tak zapamiętały w swojej pracy, że nie widzi całego świata. Macha oszczepem, że aż strach! »Mało mało« — powtarza po każdym rzucie. Mało? Spojrzenia po sobie — małooo? Spojrzeniom towarzyszą uśmiechy wyrozumienia.

Dalej trochę »nasza« kochana Jadzia (znana z ostatniej Olimpjady, z Los Angelos) groźna siła! Była mistrzyni świata w rzucie dyskiem.

Niestety... tak... była... szkoda wielka. Biedna nasza Jadzia! Do niedawna nie miała konkurentki godnej siebie, ale ostatnio, »nabiła ją Niemka Gisethe Mauermayer.

Patrzymy na kropelki potu na jej czole, na twarzy stosunkowo mało zmęczenia, ale ona na to nie zważa, tylko ćwiczy. Czyż to nie wstyd? »Spuchnąć« wobec Niemki?... Nigdy!... Niestety... Nasza dzielna Jadzia ma jeszcze 4 m. do zrównania się z rzutem »silnej Niemki«. Tak 4 m... mało — mówi się, a jednak co to znaczy w rzucie? Też »mało« tak, to »tylko«... pobite mistrzostwo świata...

Ale muszę tutaj naszą Jadzię obronić, by nikt nie powiedział, że »nasze to nic nie warte«. Trzeba koniecznie to zrozumieć, że »niepobita Gisethe«, jest prawie absolwentką niemieckiego CIWF-u, a zaś nasza Jadzia pracuje ciężko w jakiejś tam »Manufakturze« czy jak tam... Ma ona wstęp na wszystkie boiska, o każdej porze dnia, bo słowo »Wajsówna« elektryzuje wszystkich, ale... tak; to jedno »ale«... Jadzia musi, swoją część dnia spędzić nad kolumnami cyfr, kiedy Gisethe rzuca, a Niemcy, dla jednego choćby o 2 cm. większego wyniku, gotowi jej stadjon otworzyć bez trudności nawet w nocy...

Żeby u nas oceniono wszystkie wyczyny Wajsówny! Ale trudno o tem powiedzieć; zainteresowały się tylko jednostki i to na czas b. krótki...

A wejdźmy w jej położenie... tak przecież tego nikt nie może wyczynić, żadna przeciętna kobieta... Do tego jednak trzeba fenomena.

Żeby... to małe zainteresowanie padło na inny grunt, ręczę, żeby nic nie wypadło. Trochę więcej zainteresowania, co daje zawsze bądź co bądź małego bodźca...

Mało zainteresowania... Jadzia na to mało zwraca uwagi, bo ona wyjątkowo walczy z zamiłowania, a nie żądzą sławy... Walczy z miłości do kraju ojczystego, jeżeli nawet myśli przez chwilę o zdobyciu sławy, to nie dla siebie ale przecież dla Polski..

A jednak... przyjemnie byłoby Wajsównie usłyszeć czy też zobaczyć więcej rozentuzjazmowania. Wielką atrakcją były jej rzuty w Dreźnie, a u nas? U nas w tym czasie rozpisywano się o »kobiecości niemieckiej fenomenki Mauermayer«, no i dla formy podano długości rzutów i tyle o naszej rodaczce...

No chyba dość tych rozmyślań »filozoficznych« i trzeba koniecznie maszerować dalej.

Przechodzimy wreszcie na dużą bieżnię, »bieżnię w paski«, na drugim końcu coś szybko łopocze. To białe, to granatowe, coś na wzór proporczyka zatkniętego na wietrze. Jakkolwiek, obdarzona dobrym wzrokiem, nie mogę odróżnić co to być może. Może to skutki mojego beznadziejnego, roztrzepania, że moja koleżanka, robi pierwsza uwagę, »przecież to się posuwa tam i z powrotem«... Racja! Puszczamy się biegiem za resztą »kursu lekarzy sportowych« i stajemy na miejscu.

Cóż to? Wzrok nas nie myli? Nie... to niemożliwe...

Co? Co? Walasiewiczówna!? Niemożliwe... To kobieta?

Tak to nasza »mała Stasia« (mała wzrostem zaręczam), bo wyczyny jej są nie od dziś znane światu. Tak ta »malutka« osiąga takie zawrotne tępo, iż w głowie się mąci...

Pojęcie ludzkie przechodzi! Toż ona leci jej jej!

Ho ho, toż ona prędzej biegnie niż skoczek po odbiciu się z deski, w locie. Nasza Stasia mocna! Ambicja prawdziwego »wilka sportowego!« Może się obrazi, ale przecież ona taka młoda, sami o tem wiemy, ale sukcesy!

No zobaczymy Stasiu, co nam przyniesiesz, napewno wstydu nie zrobisz Polsce, ty, któraś przed Olimpjadą specjalnie przyjęła obywatelstwo polskie, by tylko wystąpić w ukochanych ci barwach... Pomimo, iż Walasiewiczówna miała wiele nieprzyjemności, ze względu iż tam wychowana, trenowała na amerykańskich boiskach, pod okiem tamtejszych instruktorów, zrobiła im zawód startując w drużynach polskich... Dzienniki amerykańskie, dawały o sobie znać w sposób bardzo bolesny dla ideałów Stasi; chodziła zdenerwowana, że obawiano się, iż wpłynie to na wyniki zawodów, ale ona zawsze opanowana, dała nam palmę pierwszeństwa na Olimpjadzie...

Zapatrzone nie spostrzegłyśmy, że trzeba ruszyć »szanownemi« kośćmi, że już dość

tych cudów, a więc good boye panno Stasu, do miłego zobaczenia na Olimpjadzie...

Ruszamy dalej. Na samym końcu boiska spaceruje p. Cejsikowa, dopiero co przestała rzucać, szkoda... parę minut mniej gapienia się na Stasię i możnaby było zobaczyć dobrą sportsmenkę...

Wieczór się zbliża, nasi idą trochę wypocząć, do świetlicy... Idzie Jadzia (chcąc sobie przypomnieć chwile świetlicowe w Sokole), idzie Lokajski, Niemiec (nie prawdziwy broń Boże), idzie Cejsikowa i wielu, wielu. Ale kogoś brak...

A gdzież to Stasia?... Czyżby się co naszej »malutkiej« przytrafiło?

Dalej, na poszukiwanie zaginionej! W szatni?... niema. W obozie?... rano jeszcze wyszła.

Gdzieżby ona mogła być?

A może na bieżni? — rzucam niepewne pytanie... Drwiące spojrzenie mojej towarzyszki mam za odpowiedź.

Mimo to puszczam po raz pierwszy, od czasu naszej warszawskiej przyjaźni ramię tak solidnie podpierające mnie przy wszystkich »dzikich zapałach«, no i »wzruszeniach« i biegnę na bieżnię.

Przeczucie mnie nie myliło, pomimo chłodu, nasza Stasia biega...

No niema co mówić, chodź panno Stasiu, trochę pobawić się...

I tak nasza Stasia, zdobywała dzień w dzień jedyne w swoim rodzaju i wogóle na Bielanach rekordy... w pilności nad ćwiczeniami...

— — — — — — — — —

Tramwajem rano przyjeżdża nasz b. olimpijczyk »Kusy«, który nie może już gonić z własnej winy, nie chcąc zrobić rocznej przerwy po stłuczeniu kolana. Finis zdaje się z jego sportem. Jedzie jako jeden z komisji na olimpjadę do Berlina... Szkoda biegu, bo i jemu udało się zrobić, że za zasługą jego i Stasi, brzmiał wobec wszystkich narodów świata Hymn polski.

W sporcie polskim dużo się zmieniło: dużo sportowców odpadło, takich naprawdę dobrych sił: Kurkowska-Spychajowa, H Konopacka, (zdobywczyni złotego medalu w Amsterdemie na Olimpjadzie). Zastąpiły ich nowe gwiazdy sportu, przynoszące nam wiele zaszczytów na boiskach świata. Kwaśniewska, Kucharski, Noji i t. d.

Pniemy się wzwyż nie zrażając się porażkami.

Na najbliższą Olimpjadę zimową wysyłamy 12 zawodników z Zakopanego, te siły nas nigdy nie zawodzą. Jedzie przecież mistrz Europy, oraz mistrz świata...

My po Norwegach stoimy na 2 miejscu w skokach, a ostatnio skok S. Marusarza, wyniósł w Jugosławji w Planicy 95 m.

Ta Olimpjada zimowa będzie w Garmisch Partenkirchen.

A więc czekajmy zimy...

»Podhalanka« Stanisławów.

Lalki, ale jakie.

P. Stefanja Łazarska udziela mi wywiadu. Gdy się dowiaduje, że potrzeba mi tego do pisma urszulańskiego, uśmiecha się serdecznie i mówi, że przed wojną była nauczycielką w gimnazjum Urszulanek krakowskich. Fakt ten jest niejako pomostem między nami, przestajemy mówić oficjalnie i rozmawiamy, jak stare znajome.

Poważny dział twórczości p. Łazarskiej zajmują lalki — ona była pierwszą, która postanowiła zmienić przedwojenną lalkę realistyczną w twór artystyczny — w taką »swoją« lalkę, którą można nietylko lubić, ale nawet kochać.

Skąd pani przyszło na myśl robić lalki?

— Przedewszystkiem kocham dzieci. Zawsze mi była niemiłą myśl, że bawią się one brzydkiemi lalkami i to niemieckiego wyrobu. Do niedawna bowiem cały przemysł »lalkarski« spoczywał w niemieckich rękach.



„Czarny kot".

Po ukończeniu uniwersytetu w Krakowie, przed samą wojną wyjechałem na studja malarskie do Paryża — tam wyszłam zamąż i brałam czynny udział w życiu miejscowej Polonji. W owym czasie grupa ta była bardzo liczną, byli tam nietylko inteligenci, ale i robotnicy, zwłaszcza górnicy w kopalniach węgla we Francji. Wypłynęła konieczność zaopiekowania się młodzieżą, która szkołę ludową już skończyła, a do pracy zarobkowej była za młodą. Postanowiliśmy dla nich urządzić rodzaj kursów. Pracę rozebrali między siebie ludzie dobrej woli. Mnie w udziale przypadło uczenie robót ręcznych, rysunków i przyszło mi na myśl, aby im zorganizować pracownię lalek. Niestety, przyszła wojna i pracę tę przerwała. Dla Polonji Paryskiej zaczęły się ciężkie czasy. Nie dość, że trapiła nas nostalgja za krajem i niepokój o bliskich, ale jeszcze większość nas skutkiem odcięcia od kraju, została zupełnie bez środków do życia. Trzeba było sobie jakoś radzić — ponieważ niedola ludzi bardzo zbliża, pomagaliśmy jeden drugiemu w miarę swoich sił i możności. Niestety wszyscy mieliśmy bardzo mało.

W pewnym momencie znów mi zaświtała myśl zorganizowania warsztatów lalek, temwięcej, iż okazało się, że i we Francji wszystkie lalki były wyrobu niemieckiego. Ponieważ »chcieć to móc«, więc zebrawszy wokół siebie grupkę polskich artystów, wprowadziłam tę myśl w czyn.

Z początku szło nam bardzo trudno — przedewszystkiem nie mieliśmy pieniędzy na materjał, różne suknie i szlafroki z mojej wyprawy dobrze się do tego celu nadały — poświęciłam je bez żalu dla dobra sprawy.

Aby zrozumieć naszą pracę, trzeba się wczuć w ówczesne nastroje — w każdem sercu tliła iskierka nadziei — a może z tej zawieruchy Ojczyzna nasza powstanie wolną — to tak, — co serce czuło, czarowały ręce. Powstały pierwsze lalki o rdzennie polskim charakterze. Były to różne typy polskie, zależnie od tego, kto z jakich stron pochodził — ulepione były z tęsknoty, może dlatego one wszystkie »żyły« i była w nich »dusza«.

Gorzej było ze sprzedażą, bo to była rewolucja — takich lalek, jak nasze nikt dotąd nie robił. Ale powoli krok za krokiem, zaczęliśmy i po trochu sprzedawać. Całemu przedsięwzięciu patronował dom p. p. Władysławów Mickiewiczów (syna Adama).

Pierwszą lalkę kupiła malarka Olga Boznańska, a p. dr. Harde Amerykanka kupiła »Walka Krakowiaka« — lalka ta była dobrym fetyszem t. zn. »mascotte« na okręcie Sussex. Okręt ten został miną podwodną rozerwany na dwoje i ocaleli tylko pasażerowie tej części okrętu, na której był Walek.

Ale pomimo to sprzedawaliśmy tylko pojedyńcze sztuki lalek — była to kropla w morzu naszych potrzeb.



Drugie cesarstwo.



Zabawa w taczki

Dopiero, gdy w marcu 1915 r. przyjechali do Paryża p.p. Paderewscy i dzięki p. p. Mickiewiczom udało nam się wielkiego artystę zainteresować naszą sprawą, weszła ona w fazę świetności.

Ignacy Paderewski zachwycił się nietylko pomysłem, ale odczuł odrazu cały artyzm jego wykonania, to też obiecał nam poparcie. W kilka miesięcy potem otrzymaliśmy zamówienie na trzysta lalek, a potem przyszła depesza:—»Wysłać tyle, wiele zdołacie zrobić«.

Warsztat nasz przerodził się w wielkie przedsiębiorstwo, gdzie pracowało dwustu ludzi, od początku zatrudnialiśmy samych Polaków, przeważnie inteligencję.

Jednocześnie nie ustajemy w zabiegach o zdobycie rynku paryskiego i powoli, krok za krokiem, postępujemy i tu naprzód.



Ostatnie wiadomości

«Les ateliers polonais« rozwijają się coraz lepiej, budząc zachwyt wśród Francuzów.

W Nowym Yorku odbywa się wystawa lalek. Paderewski osobiście zajmuje się ich rozsprzedażą, to też nikogo nie zdziwi, że polskie lalki osiągały olbrzymie ceny — bo dochodziły one do tysiąca dolarów, a mimo to były rozchwytywane.

Tutaj trzeba zaznaczyć, że lalki nasze spełniały potrójną rolę: były one propagatorkami polskości — jako wyraz duszy pol-



Hiszpanka.

skiej, przepojone gorącem ukochaniem Ojczyzny.

Początkowo oparte były wyłącznie na motywach rdzennie polskich — a ponieważ stały się modne, dla naszej propagandy zdziałały dużo.

Typ lalek przez nas lansowanych przyjął się na całym świecie, nawet Niemcy przestali wyrabiać brzydkie, realistyczne lalki ze szklanemi oczami, a zaczęli fabrykować według naszych pomysłów. Ówczesnej księżniczce belgijskiej, obecnej żonie następcy

tronu włoskiego, która była na wygnaniu w Anglji, posłaliśmy skrzynię tych lalek z dedykacją:

»Wygnance belgijskiej -- wygnańcy polscy«.

Nasze lalki bardzo jej się podobały. Urządziliśmy następnie szereg wystaw, a nawet udało nam się zorganizować prawdziwą polską szopkę — przedstawienie to miało duże powodzenie i dało kilka tysięcy franków na rzecz ofiar wojny w Polsce.

Drugą poważną funkcją, jakie nasze lalki spełniały był fakt, że dawały zarobek i pracę rodakom i przez to ratowały ich od śmierci głodowej. Zatrudnialiśmy np. sieroty — jedna z nich przychodziła np. z ociemniałym ojcem, a zarobek w naszych warsztatach stanowił jedyne źródło ich utrzymania. Pracował przytem żołnierz ociemniały w wojnie.

Pozatem lalki nasze zdziałały wiele dobrego dla ofiar wojny w kraju. P. Paderewska kupowała od nas lalki po cenach normalnych, a sprzedawała je drogo — różnica była obracana na zakup odzieży, mleka skodensowanego itp., które wysyłano do Polski.

— Warsztaty nasze prowadziliśmy do 1931 r. Tęsknota za krajem tak nam się wgryzła w dusze, że zwinęliśmy je i wrócili do kraju. Ostatnie lalki, zrobione na wystawę kolonjalną, figurują w Muzeum Kolonji w Paryżu.

— No, a w Polsce, czy nie próbowała pani zorganizować czegoś podobnego?

— Owszem, pracuję dalej w tym kierunku i tworzę coraz to nowe rzeczy. Tak np. zwróciło się do mnie Gimnazjum żeńskie w Tarnowie, że chce urządzić muzeum regjonalne z lalek — zrobiłam już dla nich św. Kingę, patronkę szkoły — wieśniaczkę ze Spały, Wisły, Piekar i Żywczankę.

W maju tego roku na skutek życzenia U. Z. O. O. wyjechałam do Krakowa, gdzie zbierałam dokumenty do Świętych Polskich. Zbiegło się to ze śmiercią Marszałka, wrażenie druzgocące, owocem ówczesnego nastroju mojej duszy były figurynki z brokatu św. Kazimierza, św. Kingi, św. Jacka, św. Salomei. Pojechały na Kongres międzynarodowy Fidacu żeńskiego do Paryża, gdzie święciły tryumfy.

P. Łazarska ofiarowała całą kolekcję swych lalek Muzeum Etnograficznemu w Krakowie.

Lalki p. Łazarskiej to nie zabawki, które gdy się popsują lub znudzą, wyrzuca się czy oddaje bez żalu. O nie, to lalki, do których się przywiązuje i których się nie odtrąca nawet i wtedy, gdy się lalką przestaje bawić. Wędrują one wtedy na łaskawy chleb do szafy, ale zawsze miło jest wydostać je od czasu do czasu, aby odnowić stare wspomnienia.

Marzenna Saryusz-Stokowska.

Moja matka.

Mówią, że o szarej godzinie najlepiej jest marzyć. Marzeniom i refeksjom sprzyja szary dzień; taki jeden z wielu, szary, jesienny dzień, gdy bezbarwne płachty chmur płaczą strugami deszczu, że minęły już stubarwne dni kwiatów i złote dni słońca. Ta właśnie szarość zsyła do serc skupienie i chęć rozrozmyślania. Owa jesienna barwa nie jest złowieszcza ani ponura, jest raczej smutna i łagodna. Przywołuje wiosenne i letnie wspomnienia, aby ich barwami zaznaczyć smugę miłych myśli.

Z okien mego pokoju roztacza się widok, który można nazwać pięknym, ale tylko wtedy, gdy otacza go słońce. Wówczas mury kościoła Szarytek mienią się różowo i złoto, a szaro-złote kontury dominujących nad miastem wież Bramy Krakowskiej i Trynitarskiej tryumfują na bladoniebieskim tle nieba. Gdy jednak narodzi się dzień spowity w szarość, aby roztaczać ją na wsze strony, budząc smutek, wówczas owe tryumfujące w promieniach słońca kościoły i wieże, wydają się ciche i pokorne w swej bezbarwności. Na ich widok, szara pajęczyna smutku delikatnie omotuje serca, tęskniące za radością słońca.

W takich to chwilach najchętniej pogrążamy się w zadumach i w marzeniach. Myślimy, że kiedyś wiosna naszych lat zamieni

się w szarą jesień, że nasze dążenia i niespełnione marzenia opadną, jak żółto-czerwone liście klonu.

Refleksje te nie pozostają jednak bez wniosku. Uświadamiamy sobie, że należy żyć tak, aby jesień naszego życia była spokojna, cicha, dostojna i wzruszająca, jak szmer opadających liści jesiennych.

Dziś wiosna naszej młodości zaciera smutek jesieni tem silniej, gdy powtarzamy za Horacym: »Infernes hiemes reducit Juppiter, idem summovet«... »Jowisz zsyła szkaradne zimy, aby je potem odwołać«. Jeżeli teraz jest źle, smutno, to przecież niezawsze tak będzie. Po tych argumentach melancholja znika, a szara pajęczyna, omotująca serca nasze, przemienia się w srebrzystą nić wspomnień z dzieciństwa, związanych z jesienią.

Pamiętam takie szare, deszczowe dni, gdy powracałam ze szkoły mała, zmoknięta, zziębnięta, z przemoczonemi bucikami, uzbrojona w tornister równie jak nogi mokry, bębniący mi na plecach książkami; biegłam wtedy po schodach, aby prędzej znaleźć się w ciepłym pokoju. Gdy wpadałam mokra i zdyszana do domu, był ktoś, kto brał moje małe, zimne i czerwone ręce w swoje ciepłe dłonie, rozcierał je i ogrzewał, a potem wyjmował z szafy duże jabłko, kilka orzechów włoskich i kładł mi na kolanach. Ten ktoś, bohater mego dziecinnego wspomnienia, to moja matka.

H. L. Kl. VIII. gimn. 523.

Gwiazdka Laluni.

Był grudzień i zbliżały się święta Bożego Narodzenia — święta tak oczekiwane przez wszystkich, pełne radości dla starych i młodych...

Panna Lala pakowała właśnie swoje rzeczy przed jazdą do domu na święta. Kiedy już waliza była pełna i kiedy rzucała jeszcze ostatnie spojrzenie na opustoszały pokoik, w którym przeżyła tyle emocyj przed egzaminowych, a potem radości i kłopotów związanych z pierwszą posadą... wzrok jej padł na pamiętnik, z którym się nie rozstawała nigdy, a który omal, że nie został przez nią zapomnianym.

Pisała go już piętnaście lat — wszystkie ważniejsze jej przeżycia znalazły w nim swą kartę... Był to jej przyjaciel i jedyny powiernik. Otworzyła go i przerzucając jego kartki, utonęła we wspomnieniach.

I oto natrafiła najpierw na datę 24 grudnia 1912 roku.

Lalunia miała wtedy lat pięć. Była jedynaczką, której śmiech dziecięcy rozlegał się po całem mieszkaniu. Mamusia i tatuś nie umieli jej niczego odmówić, a Lalunia była przemiłem, szczęśliwem i rozkosznem dzieckiem. Świętem, na które cieszyła się cały rok — była »Gwiazdka«.

— Co mi też w tym roku Aniołek przyniesie? — mawiała, — czy on się tylko domyśli, co jabym chciała dostać?...

Jakoś zwykle domyślał się poczciwy »Aniołek«, bo corocznem życzeniem Laluni, była coraz większa lalka...

Kiedy się zbliżał wieczór wigilijny, Lalunia wieczerzę wigilijną spożywała z pośpiechem, bała się, że jak »Aniołek« zadzwoni, nie będzie jeszcze sprzątnięte ze stołu i nie będzie miał gdzie rozstawić prezentów. Wprawdzie mamusia mawiała: »Aniołek wie kiedy przyjść, bo z nieba wszystko widzi«. Laluni zdawało się jednak, że chodząc po ziemskich domach, może czegoś nie wiedzieć... naprzykład, że Lalunia była niegrzeczna... Wprawdzie niania gniewała się i mówiła:

— »Zobaczysz, aniołek sie o tem dowie i nic ci nie przyniesie na gwiazdkę...«

Ale szczęściem nigdy tak dotąd nie było. Po wigilji Lalunia szła umyć rączki i przyczesać się dla aniołka i... dziwne, zawsze wtedy rozlegał się dzwonek w przedpokoju i słychać było głosy tatusia i mamusi:

»Aniołku, poczekaj na Lalunię« — a kiedy Lalunia przybiegała, już go nigdy nie było... tak się zawsze śpieszył...

Najcudniejsza była chwila, kiedy Lalunia wchodziła do salonu... Śliczne, ogromne drzewko stało ubrane cudnie, a pod niem tyle przeróżnych zabawek... Lalunia nie wiedziała, którą się najwięcej cieszyć. — Niepokoiła się, czy rodzice dość serdecznie podziękowali aniołkowi...

A kiedy szła spać, musiała mieć wszystkie zabawki przy sobie...

— — — — — — — — —

— »Niezapomniane czasy...« myślała panna Lala...

Potem przewróciła kilkadziesiąt kartek swego pamiętnika i wzrok jej padł na datę 24 grudnia 1915 roku.

— — — — — — — — —

Był to rok wojny. Lalunia miała wtedy już osiem lat. Była w Wiedniu z rodzicami, oni mówili jej, że czasy są ciężkie, wszyscy są smutni, oni musieli tu przyjechać, bo w Krakowie wojna... Lalunia nie rozumiała dobrze, co to słowo znaczyło, ale wyobrażała sobie, że to musi być coś strasznego... Pomimo, że ludziom było smutno, Lalunia cieszyła się na »Gwiazdkę«.

— »Co też mi dziś aniołek przyniesie?...« myślała sobie w duchu. Wtem stała się rzecz straszna. Coś takiego, o czem Lalunia długo nie mogła zapomnieć, myśląc o tem robi jej się smutno.

Popołudniu przyszła do Laluni jej przyjaciółka Zosia i rzekła:

— »Wiesz co? Idę teraz kupić sobie drzewko«.

— »Co takiego?«

— Drzewko — no... drzewko wigilijne.

Jakto idziesz kupić.. przecież to aniołek przynosi...

— Aniołek? ha — ha — ha... to ty wierzysz w aniołka?

— Jakto?

— Przecież niema wcale aniołka — to tylko tak mówią dzieciom.

— — — — — — — — —

Lalunia płakała długo... długo. Rodzice nie mogli jej uspokoić, na wszystkie ich pytania, odpowiadała wśród łez:

— *Dlaczegoście mnie oszukali...*

A kiedy potem została sama, była bardzo nieszczęśliwa, zdawało się, że nic jej już nigdy pocieszyć nie zdoła...

Słowa: »Niema wcale aniołka« były dla niej bolesnem uderzeniem w najczulsze miejsce jej dziecinnego serduszka.

Coś się dla niej nazawsze skończyło... i nie powróci więcej...

— — — — — — — — —

— To był najsmutniejszy dzień w dzieciństwie Laluni...

Panna Lala zamknęła pamiętnik. Jakżesz wiele się zmieniło, tak jak ta iluzja aniołka, w którą wierzyła...

Teraz już nie jest wesołą Lalunią... ale dorosłą panną Lalą, którą życie wielu rzeczy nauczyło... Wesołe jej dziecinne oczy, zmieniły się w poważne oczy kobiety, która pomimo dwudziestu lat przeszła wiele... i wiele przecierpiała.

Teraz zbliżają się święta. Oto jedzie do domu, do ukochanych rodziców... ale już nie cieszy się na aniołka... bo aniołka rzeczywiście niema.

Panna Lala jest smutna... brak jej czegoś... co przeminęło bezpowrotnie: oto przeminęły jej dziecinne i beztroskie lata.. a zaczęło się życie. *Jadwiga Hoesick Hendrichowa.*

Bój żabiomysi.

(Ciąg dalszy.)

Tak przemówił i żaby zachęcił: poczęły się zbroić.
Ślazu listkami okryły golenie, na piersiach zaś każdej
Pancerz z boćwiny zielenił się; z liści kapusty puklerze
Wykroiły misternie; w prawicach — długie oszczepy
Z trzciny kończastej; na głowach — szyszaki z ślimaczych skorupek.
Tak uzbrojone stanęły na stawu wybrzeżu wysokiem,
Potrząsając włóczniami i płonąc wojenną ochotą.
Zeus zaś, bogów zwoławszy w niebiańskich przybytkach Olimpu,
Wojska pokazał im tłum, szeregi chrobrych rycerzy
Mnogich i rosłych; a każdy z nich długą dźwigał kopiję:

Zeus tedy spytał z uśmiechem, kto z bogów żaby chce wesprzeć,
Kto zaś myszy, gdy będą w opałach. I rzekł do Ateny:
„Córko moja, ty myszom niechybnie pośpieszysz na pomoc,
Im, co tak lubią narcować po twojej świątyni gromadnie,
Dokąd je zwabia woń palonego tłuszczu i jadło“.
„Wcale ja, ojcze, nie myślę ratować, gdy będzie w opałach,
Rodu mysiego, gdyż moc wyrządził mi złego: wszak on to
Zawsze niszczy mi wieńce i z lamp oliwę wypija.
Lecz oto czem mi najbardziej dojadły te myszy bezecne:
Szatę pogryzły mi, com ją z cieniuchnej osnowy utkała:
Wpadłam w szpony lichwiarzy, bo krawiec-łatacz nalegał,
Chcąc pieniądze swe ściągnąć; więc gniewem zawrzało me serce;
Bowiem już na przędziwo dług zaciągnęłam a teraz
Nie mam na spłatę i procent mię gnębi: to cios dla bogini! —
Z drugiej strony i żabom nie zechcę użyczyć pomocy.
Bo wartogłowy to straszne: niedawno — pamiętam — wracałam
Z wojny strudzona, więc chciałam pokrzepić się snem; lecz one
Tak natrętnie skrzeczały, że oka zmrużyć nie mogłam:
Z bólem głowy leżałam bezsennie, aż kury zapiały.
Niech was zatem, bogowie, nie zbiera ochota ich wesprzeć,
Byście snać ran nie odnieśli od ostrzy włóczni kończastych:
Toć w szale bitwy, zuchwalce, przed bogiem się nawet nie cofną.
Przeto patrzmy się z nieba i miejmy z ich boju zabawę“.
Tak powiedziała Atena, a wszyscy za radą jej poszli;
W jednem miejscu pospołu zebrali się tłumnie bogowie.
Właśnie komary na surmach olbrzymich pobudkę wojenną,
Dmąc w nie potężnie, zagrały; zaś z nieba pioruny zagrzmiały,
Hasło do wojny złowrogiej, przez Zeusa dane Kronidę.
Starł się najpierw Skrzeczysław z Lizentym, co w pierwszym stał rzędzie,
W brzuch go włócznią ugodził i pchnął ją aż w samą wątrobę.
Runął Lizenty z łoskotem i pyłem zbrukał włos miękki,
Zbroja zaś na nim w upadku głuchym ozwała się chrzęstem.
Potem Jamolub wymierzył oszczepu grot potężnego
W Błotomiła i wbił mu go w pierś i zwalił na ziemię;
Tego zaś czarna śmierć ogarnęła i ducha wyzionął.
Poległ także Buracjusz, gdyż w serce go żgnął Garkoskrobek,

C. d. n.

R E C E N Z J E.

Pani Orzeszkowa.

Pod tym tytułem napisał Franciszek Godlewski osobisty przyjaciel autorki, studjum o Elizie Orzeszkowej. (Warszawa Dom Książki Polskiej).

Opierając się częściowo na osobistych wspomnieniach i opowiadaniach samej autorki, w krótkiej stosunkowo monografji scharakteryzował doskonale postać Elizy, jej otoczenie, tło epoki, w której żyła, działała.

Dostatnie beztroskie życie w rodzinnej wsi Miłkowszczyźnie, a następnie jako 17-letniej mężatki w Ludwinowie, ogranicza się

do zabaw i przyjęć. Dopiero wypadki, poprzedzające powstanie styczniowe, wywarły wpływ na jej umysł i talent.

Nie będąc piękną, Eliza przyciągała ludzi żywą inteligencją i energją, tryskającą z jej głębokich, ciennych oczu, oraz przedziwną dobrocią złotego serca, współczującego wszelkiemu cierpieniu.

Otaczało ją liczne grono przyjaciół, krewnych rezydentów, gości przygodnych, zawsze mile przyjmowanych. Młode panienki z inteligencji tworzyły niby świtę. Spełniały one rożne funkcje; bawiły gości, prowadziły bibljotekę i czytelnię, a przytem słuchały jej wykładów literatury, które odznaczały się nietylko piękną formą, ale i gruntownem przygotowaniem.

Przypisywała powstanie poezji ludowi, który śpiewał karczując puszcze, wpatrzony w słońce układał legendy, zaludniając lasy i pola fantastycznemi dziwami. — Fale snuła nić poezji i nauki od Piasta i Lecha, Reja, Kochanowskiego i złotoustego Skargi — do trzech wieszczów.

Ceniła bardzo Sienkiewicza — nazywała go »słowikiem wśród szczygłów«, jak również Prusa i Świętochowskiego. Lubiła Reymonta i Sieroszewskiego, ale obawiała się wpływu Przybyszewskiego i Żeromskiego... Podziwiała poetów Asnyka, Rydla, Kasprowicza, zwłaszcza zaś Konopnicką bratnią duszę, z którą łączyło ją prócz przyjaźni serdecznej, gorące umiłowanie przyrody, wsi, ludu, maluczkich i upośledzonych.

Kochając całą duszą Polskę, bolała nad pętami niewoli i prześladowaniem. Wybuch powstania pobudził jej zapał do pracy narodowo-społecznej. W tym czasie mąż jej, który brał w walkach czynny udział, został zesłany na Sybir. Orzeszkowa bolała nad tem ogromnie, że nie może mu w tem towarzyszyć. Pomimo niebezpieczeństwa utraty mienia i wolności, rozwoziła pocztę, bieliznę, szyła konfederatki, ukrywała nawet dłuższy czas rannego Traugutta.

Już w Miłkowszczyźnie próbowała pióra. Z tych czasów pochodzi »Obrazek z lat głodowych«, pisany w trzy lata po powstaniu i późniejsza powieść »Pan Graba«.

W 1869 roku przeniosła się do starożytnego Grodna, które Ongrodem nazywała. Pobyt w mieście dał jej pole do studjów różnych typów in anima vilis, które figurowały w licznych jej utworach.

Rzecz dziwna, że mimo wybitnego talentu i wielkich osobistych przymiotów, była przez współczesnych niedoceniana i nieraz ostro krytykowana (Chmielowski). Arystokracja i ziemiaństwo zarzucało jej demagogję i filosemityzm, gdyż mając szerokie, humanitarne poglądy, występowała przeciw nienawiści rasowej, gnębieniu i krzywdzeniu słabszych, potępiała wady, poruszała bolączki społeczne, przedstawiając wzniosłe zadania, ciążące na inteligencji. Szowiniści gorącej patrjotce przypisywali ugodowość w stosunku do rządów zaborczych. Nawet młodzież nie darzyła jej sympatją, gdyż nie hołdowała nowoczesnym ideałom społecznym. A przecież była pionierką postępu, rzeczniczką praw kobiety, staczała walki o dopuszczenie kobiet na wyższe uczelnie, czemu owczesny rektor stanowczo się sprzeciwił.

Dominującą cechą jej utworów jest melancholja »płynąca z boju jak morze«, który Polskę i ją otaczał.

Orzeszkowa za najlepsze swoje dzieła uważała »Nad Niemnem« i »Gloria victis«. Życie jej poznać można najlepiej z utworu »Ad astra« — Seweryna, to ona — Romski, to Tadeusz Grabowski.

Osobiste wspomnienia odzwierciadlają się w »Przędzach« i »Zwierzeniach«.

Dopiero po roku 1905 otworzyły się oczy społeczeństwa na pracę narodowo-oświatową i zasługi Orzeszkowej. W jubileuszowym hołdzie 1907 r. w Warszawie i Grodnie brała udział cała Polska.

Marja Stecowa.

O „Pielgrzymach“ Fr. Mauriac'a.

Książka ta nie cieszyła się tak głośną reklamą, jak »Kłębowisko żmij«. a jednak, jak w »Kłębowisku«, tak i w niej znajdujemy wszystko, co ludzkie: potęgę wspomnienia, przywiązania do miejscowości, do dróg zdeptanych i te myśli rozproszone, odchylenia chwilowe jak i nawroty wiary dziecięcej, to wszystko, co pociąga ku sobie siłę Bożą.

Autor oprowadza dwóch zaprzyjaźnionych młodzieńców po ścieżkach Lourdes. Jeden wierzący, drugi przybyły jedynie z ciekawości. Myśli ich krzyżują się nieustannie.

»Jowisz także – powiada sceptyk – Apollo, Merkurjusz, Diana, Wenus i inni bogowie naznaczali miejsca zborne wybrańcom swoim. Niegdyś były nimfy przy źródłach. Dzisiaj są Święte. Kościół nie zniszczył pogaństwa, zastąpił je«.

W wierzącym przyjacielu budzi się sprzeciw; ostrożnie dobiera słowa.

»Są miejscowości, były zawsze miejscowości tchnące Duchem. To tylko słowa Borrés'a. Powiedzmy, że od czasów Chrystusa są miejscowości tchnące Łaską«.

Lecz zdrowego, eleganckiego Lerge'a, miłośnika estetyki i wygody razi to wszystko: niesmak kazalnicy żelaznej, jednostajność powtarzanych u stóp groty różańców, a nadewszystko widok ludzkiego kalectwa, woń tłumu.

Myśli wierzącego Augustyna są w zacząłkach trochę pokrewne, lecz krótko pełzają po ziemi, wzrok niosą wyżej.

»Przyciągać tłum, to przyciągać brzydotę. Tłum niszczy to, co przyszedł podziwiać. Cobyśmy dali, żeby Grota była taką, jak dnia owego, gdy Bernadetta, usłyszawszy w ciszy polnej wiatr wielki, podniosła oczy».

Lergo dalej snuje:

»Chrystus rzekł: Królestwo Boże jest w nas«. Rzekł przecie Samarytance, iż prawdziwi wyznawcy Ojca nie czczą Go w Jeruzalem, ani gdzie indziej — zatem ni w Lourdes, ni w Lisieux. Oni czczą Go w duchu i prawdzie«.

I znów pojednawcza odpowiedź:

»Słowo Chrystusa o wielbicielach w duchu i prawdzie, było wyrzeczone przy studni. Czyż nie sądzi On, że ta kobieta i ci, którzy jej uwierzyli, nie powrócili w to miejsce, że pragnąc Boga wielbić w duchu i prawdzie nie oparli czoła o kamień, o który On się opierał? Tak tu kiedyś małej dziewczynce zdało się, mówisz, że ujrzała Matkę Najświętszą. Drążyła ziemię i woda wytrysła. Kalecy zostali nią uzdrowieni. Jakże chcesz? Czy za nimi inni nie przyszli? Chrystus, gdy był na ziemi, ciała uzdrawiał, żeby dusze do Siebie przyciągnąć. Tu nie widzimy tego, co w sercach się dzieje. Nie istnieje Biuro Stwierdzeń dla dusz uzdrowionych«.

A o Lisieux: »Przyznaję ci, że jest może pewne nieporozumienie między małą Świętą z Lisieux, a tłumami, które przy jej grobie klękają. Te jej słowa: »po mojej śmierci spuszczę na ziemię deszcz róż« wywołały u wielu raczej pojęcie materjalnej opieki, a chodziło o to, co ona nazwała »małą ścieżynką«, o tę ścieżkę duchowego dziecięctwa i oddania całkowitego. Bo jesteśmy zawsze wysłuchani, lecz według nieznanego nam planu. Jeśli nie odjęty nam krzyż, dana nam siła dźwigania go bez szemrania«...

Lecz Lergo wyjeżdża. Podąża wygodnem autem do Biarits, pragnąc otrząsnąć niemiłe wrażenia z Lourdes.

Jednak w drodze uparcie gonią go myśli:

»Co nienawidzę w każdem miejscu poświęconem pielgrzymce, to właśnie to, że w niem narzuca się poprostu pytanie: wierzę — nie wierzę? — Tę zagadkę, około której pragnę przez życie przejść mimo — Lourdes stawia mi ją nieustannie przed oczy; a jednak — nie przyznałbym tego zanic w świecie Augustynowi — to jednocześnie mnie nieprzeparcie pociąga. Pojmuję jedynie religję jako poczucie indywidualne, czysto osobiste, sekretne. Nie cierpię koletywnego ferworu, pobożności uwięzionej w prawidła. A jednak — lubiłbym móc być głosem straconym w tym przeogromnym koncercie, kroplą w tem morzu bezmiernem, malutką tylko komórką, ale komórką świadomą ogromnego ciała chrześcijańskiego...

Temi myślami Lergo spełnia już podświadomie pierwszy akt wiary. »Wierzę Panie, lecz przyjdź na pomoc mojej słabości«.

Książka Mauriac'a jest piękną. Przypomina nam, żeśmy pielgrzymami na ziemi. Przypomina nietylko Lourdes i Lisieux, La Salette, Paray-le Monial, lecz Jerozolimę, Rzym i Emaus, mały Asyż, który dziś byłby niczem, gdyby w nim Franciszek nie poślubił ubóstwa. Przypomina nam Częstochowę i Ostrobramę, Kodeń, Latyczów — wszystkie miejsca skąpane w Łasce. Ten odwieczny, nieustający przypływ i odpływ tłumów około grobu czy skały, to nieustające na ziemi pragnienie światła. Książka Mauriac'a przypomina sama w sobie te dzwony, zwane dzwonami zatraconych, o których na jednej kartce wspomina. Te dzwony w pobożnej Hiszpanji brzmiały noc całą, ściągając zabłąkanych w ciemnościach. Na ich orężach czytało się słowa wyryte: »errantus revoca«.

A. Pruszyńska.

Stanisław Kasznica. Rozważania. Księgarnia św. Wojciecha 1935, cena, str.

Ta książka nie jest tylko p i s a n a, ale p r z e ż y t a. Autor, człowiek świecki, prof. Uniw. z konsekwencją zdecydowanego katolika rzuca w świat swoje myśli i przeżycia tak głębokie, a jednak takie proste — takie codzienne, „szczere". Prostolinijność tych krótkich „Rozważań" każe nam oderwać myśl od skomplikowanych teoryj a wskazuje nasz stosunek do Boga takim, jakim on jest w rzeczywistości — jasny — prosty i bezpretensjonalny.

Dla dzisiejszego inteligenta-chrześcijanina zaspieszonego — zaabsorbowanego zewnętrznemi zagadnieniami — podanie esencjonalnej prawdy, jako strawy duchowej w krótkich, zwięzłych rozważaniach jest najlepszym sposobem nasycenia jego głodu — Boga. Braknie nam słów na wyrażenie, jak bardzo wielki wpływ wywrzeć może ta drobna książka na ukształtowanie się duszy dzisiejszej myślącej młodzieży.

Czy spotkamy w niebie naszych najbliższych i najukochańszych? Oto pytanie, które stawia sobie niejeden człowiek, niejedno zrozpaczone serce. Na to pytanie daje odpowiedź piękna książka **X. Ludwika Rouzic'a p. t. Miłość mocniejsza niż śmierć**, (przekład z francuskiego, wydana przez **księgarnię św. Wojciecha**). Autor oświetla w tem dziełku zagadnienie życia pozagrobowego, uwzględniając wzajemne stosunki pomiędzy zmarłymi a żyjącymi, zbawionych między sobą, i zbawionych z aniołami. Na poparcie swej tezy, że kochający się na ziemi ludzie, odnajdują się znów w niebie, przytacza autor dowody z Ewangelji, oraz świadectwa Ojców Kościoła i Świętych. Dzięki temu ta książka może stać się źródłem radości, pociechy i ufności w miłosierdzie Boże, dla tych wszystkich, którzy cierpią po stracie ukochanych lub boją się, by ich nie utracić. Książka pisana jasno i przystępnie.

Sprostowanie.

W nr. 3 pominięto w spisie alfab. domów Urszulanek polskich: Lwów, św. Jacka 16. Założony w r. 1907.

TREŚĆ N-ru 4-go:

WARUNKI PRENUMERATY: ROCZNIE 6 ZŁ.

Numer pojedynczy 0·60 zł.

K o n t o P. K. O.: „Dziś i Jutro", Nr. 404.930

Wydawca i odpowiedzialny redaktor:

Zofja Zakrzewska.

Adres Redakcji; Kraków, ul. Starowiślna 11.

Drukarnia „Powściągliwość i Praca" w Krakowie.